

JOHN DONNE

Dzień dobry

Przebóg, głowie się, cośmy ty i ja robili
Przed zakochaniem. Czyśmy wciąż pierś mamki ssali
Lub rozkosz wsiową? Zali myśmy dziećmi byli
Lub w siedmiu braci śpiących pieczarze chrapali?
Więc jeśli kiedy widział jakieś piękno z drzeniem
I pragnąc posiadał - było snadź o tobie śnieniem!

Dzień dobry duszom naszym, co ze snu powstały,
Pilnują one siebie, lecz nie z trwogi zgoła;
Miłość chroni, kierując wszystkie uczuć strzały,
A każde miejsce małe w wszechświat zmienić zdoła.
Odkrywcy mórz do nowych łądów niech pojada,
Niech inni mają mapy i świat na świat kładą:
Nam jeden starczy, jedną świat będzie osada.

Ma twarz w twym oku, w moim odbicie twej twarzy,
W twarzach zaś serca szczere. Gdzie indziej za młodu
Dwie takie hemisfery znaleźć się nadarzy
Bez ostrej Północy, pochylego Zachodu?
Nierówno jest zmieszane, co umiera w świecie.
Gdy więc miłość w nas jedna - bo ty i ja przecie
Jednako się kochamy - to śmierć nas nie zmiecie.

Testament

Nim skonam, o Miłości, pozwól na ostatku,
Bym resztką tchu wyszeptał: Zapisuję spadku
Argusowi swe oczy, jeśli wzrok w nich będzie,
Jeśli oślepną, Miłość niechaj je posiedzie;
Uszy ambasadorom; język głośniejszemu Sławie
Łzy morzu albo kobietom zostawię
Ty, o Miłości, przez swoje fortele
Każąc mi czcić tę, która liczne ma czciciele,
Uczyłaś mnie, bym dawał tylko temu, kto ma zbyt wiele.

Stalość mą niewzruszoną planetom i ptakom
Zapisuję, a wierność daruję dworakom;
Moją prostolinijność, fałszem nie zhańbioną -
Jezuitom, a namysł poważny - bufonom;

Milkliwość - tym, co z długich wą podróży;
Bogactwo niechaj kapucynom służy.
Ty, o Miłości, każąc mi w pokorze
Kochać tę, co odrzuca mnie i trwa w uporze,
Uczyłaś mnie, bym dawał tylko temu, kto wziąć nie może.

Wiare swą zapisuję rzymskim katolikom,
Wszystkie dobre uczynki zaś amsterdamczykom,
Co schizmę szerzą; grzeczną dworność i ogładę
Uniwersytetowi jako zapis kładę;
Skromnością swą żołnierzy hojnie wyposażę;
Cierpliwość w spadku niech wezmą karciarze.
Ty, o Miłości, gdym tkwił u ołtarza
Tej, która za niegodną miłość mą uważa,
Uczyłaś mnie, bym dawał temu, kogo dar mój obraża.

Całe me dobre imię oraz sławę sporą
Dam przyjaciołom; pilność niech wrogowie biorą;
Scholastykom przeznaczam skłonność do wątpienia,
Lekarzom zaś choroby moje i cierpienia;
Zacna kompania weźmie dowcip; a Natura -
Rymy, co wyszły spod mojego pióra.
Ty, o Miłości, gdym kochał z zapalem
Tę, co miłość zasiała w sercu mym nieśmialem,
Uczyłaś mnie, bym dawał niby, gdy tylko dar zwracałem.

Tym, którym wkrótce zabrzmia pogrzebowe dzwony,
Daję księgi medyczne; papier zaczerniony
Moralnymi radami niech biorą wariaci;
Stare medale z brązu weźmie ten, kto straci
Fortunę; kto wędrować chce w dalekie kraje,
Temu dziś język mój angielski daję
Ty, o Miłości, kiedy moja miła
Za miłowanie tylko przyjaźnią płaciła,
Uczyłaś, by i w moich darach ta niewspółmierność tkwiła.

Przeto nic więcej nie dam; zniweczę jedynie
Świat swą śmiercią: bo wtedy miłość także zginie.
Nie więcej warta będzie wszelka piękność żywa
Niż złoto w sztolniach, z których nikt go nie dobywa;
Z wszelkich wdzięków pożytku wtedy będzie tyle,
Co z słonecznego zegara w mogile.
Ty, o Miłości, i nauki twoje
Dały mi sposób, którym przeciw niej się zbroję:
Gdy ona z ciebie i mnie szydzi, zginiemy wszyscy troje.

Elegia na idącą do łóżka

Pójdź wreszcie, Pani; wkrótce sił mi już nie stanie,
Bardziej niż trudy przyszłe trudzi mnie czekanie.
Bywa, że wojownicy, widząc wroga z dali,
Znużą się staniem, chociaż bitwy nie zaznali.
Precz z tym paskiem, co skrzy się jak zodiaku sfera,
A przecie świat piękniejszy w swym kręgu zawiera.
Rozepnij stanik lśniący, pod którym pierś biała
Przed wścibskimi oczami głupców się skrywała.
Rozwiąż go: brzęk cekinów niech tego wieczora
Jak kurant znać nam daje, że do łóżka pora.
Precz z gorsetem, o którym zazdrośnie wciąż myślę,
Że obejmuje ciebie tak blisko i ściśle.
Niech spłyną suknie: spod nich piękno się wynurza,
Jak kiedy z kwietnej łąki odpływa cień wzgórza.
Zdejmij przybranie głowy, niech bujnym bezładem
Ozdobi ją królewski włosów twoich diadem;
Zrzuć ciżemki: już stopa twoja wstąpić może
Do miłosnej świątyni, w nasze miękkie łoże.
W takich to białych szatach anioły na niebie
Objawiały się ludziom; ty, aniele, siebie
Objawiasz mi jak niebo, jak raj Mahometa;
Choć złe duchy w biel także się stroją, kobieta
Jako anioł z diabłami ma podobieństw mało:
Tam włos staje dęba, tutaj zasię - ciało.

Pozwól dłoniom, niech błądzą jako dwaj włóczędzy

Z tyłu, z przodu, powyżej, poniżej, pomiędzy.
O, Ameryko moja! mój lądzie nieznany,
Oby zawsze przeze mnie tylko zaludniany,
O, kopalnio klejnotów, kolonio szczęśliwa,
Jak dobrze się odkrywa ciebie i zdobywa!
Te okowy ci wolność przyniosą; i wszędzie
Gdzie tylko dłoń położę, moja pieczęć będzie.

Nagość zupełna! Cóż to za rozkosz, o nieba!

Jak dusze z ciał, tak ciała z szat uwolnić trzeba,
By kosztowały uciech. Klejnoty, brylanty
Na ciałach kobiet są to jabłka Atalanty,
Rzucane nam przed oczy; gdy kiep je ogląda,
Przyziemną duszą bardziej ich niż ciał pożąda.
Jak książka, co laika obwoluta swoją
Przyciąga, tak kobiety zdobią się i stroją;
Same zaś są księgami, w których my jedynie
(Jeśli na nas ich łaska niespodzianie spłynie)
Czytamy treść mistyczną. Skoro zatem można,
Ukaż mi się tak całkiem, jakby cię położyła
Oglądać miała: nuże, zrzuć te białe płótna,
Nie wstydz się, niepotrzebna tu szata pokutna.

Spójrz, jestem nagi; rację natura mi przyzna:

Po co masz mieć przykrycie inne niż mężczyzna?